

- Jakto, nie wiedziała pani, na jakiej planecie pani żyje?... - wybuchł zdumiony.

- Wiedziałam, słyszałam, ale dawno nie miałam sposobności widzieć... Mnie dotychczas chleba jeszcze nie brakowało...

Ostatnie słowa wymawia jakby z zawstyżeniem, jakby w poczuciu jakiejś winy. Jakiej, tego nie wie sama. Tylko własne troski i zgryzoły błędną jej i maleją dziwnie...

- Mój Boże!... Mój Boże!... Jakie to straszne!

- Teraz, to jeszcze nic, przynajmniej ciepło, ale w zimie - w śniegu, na mrozie... To wojna, proszę pani...

W mało uspołecznionej duszy Józiny zaczyna się coś burzyć i wrzeć. Myśl, pobudzona do pracy, usiłuje przeniknąć, rozwiązać zagadkę.

- Dlaczego?... Dlaczego tak?!

Jurek wzrusza ramionami. Czoło ma ponuro zmarszczone i w oczach ostre błyski.

- Dlaczego?... Nie wie pani?...

- Jaka ja jestem głupia!... - szepta Józia, zawstydzona już niepomierne, głęboko...

Wzrok chłopca przesunął się po jej twarzy dziwnie tkliwie.

- Takie dzieciątko z pani...

- Niech no pan da ten piernik... - przypomniała sobie nagle.

Wyszukała jakąś dziewczynkę bosą, o miłutkiej, mizernej twarzyczce i dała jej piernik.

Dziecko spojrzało zdziwione i, nie dziękując nawet, zatopiło zęby w słodkim cieście.

Ten odruch dziecięcy, niewyrozumowalnego współczucia sprawił Józii samej dużą przyjemność i uspokoił ją trochę.

- Chodźmy... - zaproponował Jurek - Co się będziemy gapić... To tylko ludzi złości...

- A to chodźmy!...

W tej chwili przemknął przez ulicę wóz z zamkniętą, szafirowo pomalowaną budą, na której widniał napis: „Zakład dezynfekcyjny”...

W tłumie, oczekującym przed piekarnią, powstał żywszy ruch... Spoglądano za niknącym w dali wozem „Zakładu dezynfekcyjnego”. Syły się głośnie uwagi.

- Oho! Znowu ktoś zachorował na czerwone!...

- A czy to jeden chory?...

- Wszystkich nas tu choroba wyllucze, jak tak dalej pójdzie!...

- Jak nie chorować, kiedy żyć niema co!...

- A można se kupić na szczepańskim szczawiu, szpinaku, sałaty i koniczynie!...

- U mojej bratowej dwoje dzieci umarło!...

- Ale się ta zaraz i grubszego ryb chwytą.

- A jakże!... Choroba nie pyta!... Nie mogą pieniądze!

Z szmeru rozmów wybił się nagle i zapanał nad gwarem cienki, przeraźliwy głos, śpiwający na przeciągłą, andrusowską nutę:

„Chory radca na czerwone,  
Bo wywoził żydom makę”...

Ozwały się śmiechy.

- A to ci rak przyścipny!...

- Jak to składnie zaśpiewał!...

- Chodźmy! - powtórzył Jurek do Józii.

Za chwilę weszli w zielone, rozkwiecione, różami pachnące planty.

- Jak pięknie!... - zawołała radośnie Józia.

Zapomniała już o wojnie, o „ogonku” chlebowym, o płaczących, głodnych dzieciach i o czerwonce.

Cieszyła się, że róże pachną tak mocno, że poranek jest taki jasny i pogodny, rozkoszny, cieszyła się, że żyje, istnieje, oddycha.

- Rany Boskie!... Panienska!... O Jezusiku! Że też oczy moje panienskę jeszcze ogląda!... O! Mojeż dziecko kochane!...

Wypłowiłe niebieskie oczy starej sługi wilgotnieją ze wzruszenia. Chwytą ręce Józiny i chce je całować, na co znowu Józia w żaden sposób nie chce pozwolić.

- Agnieszko!... Cóż znowu... To sensu nie ma, żeby Agnieszka mnie, taką smarkatą w rękę...

- O! Moja panienska złota!... O moja sierotka biedna!... - wdycha po dawnemu Agnieszka, która służyła u Maliniewiczów jeszcze za życia matki Józii i nie cierpi Maliniewicza z całej duszy.

Słowo „sierotka” przypomina Józii ojca i... macochę.

- Państwo śpią jeszcze?

- A śpią... śpią... - rzuci niechętnie Agnieszka - Dość się ta wysypiają i pan i ta... nowa pani... O!... Sieroty wy, sieroty!... Rozpanoszyła się tutaj na dobre macocha!... Kazię na pensję

z domu oddali!... Dobrze, że choć Józinka za mąż poszła!...

Gadanina sługi niemile dotknęła Józję. Brutalnym przypomnieniem rzeczywistości schmurzyła, zmaciła jasny, pogodny nastrój, wywołany przyjazdem do Krakowa.

- Pójdę zbudzić państwo!...

- Niech Agnieszka nie budzi!... Poczekam trochę, o! choćby w kuchni i może mi Agnieszka da coś zjeść, bom głodna!...

- Głodne dziecko! O, mój Boże!... A ja tu plotę trzy po trzy, zamiast co przygotować!... Zaraz będzie śniadanko, moja ty rybko złota, śliczna!...

- Jaka Agnieszka dobra i lubi mnie zawsze, prawda? - mówi z przymileniem Józia, która dobrze pamięta, jak to Agnieszka broniła ją przed gniewem ojca lub ciotki, jak nieraz skarcona pocieszała pieścizkami i karmiła łakociami.

- O, panienczko ty moja!... Jazbvm cię nie lubiła, com przecież Józineczkę wypasiowała, wychuchała!... Bo jak nieboszczka pani umarła, to kto się tam troszczył o sieroty?... Pan może?...

W kuchni, do której weszły teraz obie, wszystko lśniło, błyszczało czystością i świeżo szorowaną podłogą i biało powleczone, wysoko pościelą usłane łóżko i białe lakierowane sprzęty i nieskazitelnie poczyśczone garnki.

- Jak tu czyściutko, miło, ładnie!...

- A co? A co? - oczy Agnieszki rozpromieniają się radością pod wpływem tej pochwały - Prawda, jaki porządek? Tylko się przeglądać we wszystkim!... I to ja sama!... Bo teraz druga, to tylko dochodząca!... I myślisz pani, że to jej dogodzi?... Gdzie tam?...

- Komu?...

- A panowej żonie!... Macosz!... - słowa te wymawia z takim akcentem gniewu i pogardy, że Józję przebiega dreszcz.

Ta macocha! Boże! Ta macocha - jakże mało o niej dotychczas myślała!... A teraz ona przecież jest tutaj panią i gospodynią.

Józia siada na stołku przy oknie i spogląda ponad wazonikami fuksji kwitnących i pelargonii na czyste, wyasfaltowane, w ramy oficyn ujęte podwórce.

Agnieszka tymczasem krząta się żywo koło pieca, przygotowując. Z garnuszka pełnego mleka zlewa z wierzchu śmietankę, wybiera grubą, żółtawą kożuszek.

Mruczy przytem pod nosem.

- Będzie piekła, bo będzie, ale niecham!... Niech się obejdzie cienkiem mlekiem, a dla Józinki będzie śmietanką!... A jakże!...

Klasnęła nagle rękami.

- A cóż nieszczęśliwa dam Józii zjeść... jest biała bułka w kredensie!... Piekłam wczoraj, ale ta piekielnica trzyma wszystko pod kluczem... Zamyka, jak przed złodziejem!...

- Wszystko jedno... Może jest jaki kawałek chleba, a nie, to się obejdzie. - rzuci pospiesznie Józia, bo ją te wyrzekania na macochę niepokoją i denerwują!... Czuje, że ją zaczyna ogarniać strach.

- A mam tu ten magistracki, ale to przecie nie na paniencyne ząbki. Taka glina, że już nie powiem inaczej!...

Józii przypominał się „ogonek”, wyczekujący tak wytrwale i cierpliwie na ten sam niesmaczny chleb.

- Moja Agnesiu, ilu to ludzi taknie teraz napróżno choćby takiego najgorszego chleba!...

- Prawda to, ale zawsze, gdzieżby tam Józia.

- A Agnieszka je ten chleb?

- Jakże, jem... Przecie mi innego... ta nie da, choć się sama ciastkami zażera!...

- No to i ja mogę jeść taki chleb, jak wszyscy, jak Agnieszka!...

- Kiedy panienska taka delikatna!... przepraszam, bo to powinnam mówić pani, ale ja tak z przyzwyczajenia!...

- Ani panienska, ani pani, tylko poprośtu. Józia, jak dawniej, dla mojej dobrej, pocziwej Agnesi!...

- O, mojeż dziecko kochane!... Najmilszel!... Zawsze jak aniołek!... - rozczuliła się Agnieszka.

- Ładny aniołek!... Pamięta Agnieszka, jak to się zawsze w domu mówiło: czy w tej Józii dyabeł jaki siedzi, czy co?

- Ja tak nigdy nie mówiłam!...

- Czasem to i Agnieszka!...

- Nie, nie!... Jazbvm na Józję taką brzydką rzecz powiedzieć miała!... To nieprawda!

Józia gryzła ze smakiem chleb i zapijała kawą, a Agnieszka kręciła się tymczasem po

kuchni, biorąc co chwila bez potrzeby, to to, to owo do ręki i kładąc znowu na miejsce. Popatrywała się przytem na Józję wzrokiem rozjaśnionym uciechą, ale i badawczym trochę.

Przez chwilę panowało milczenie w kuchni. Słychać było tylko chrupanie chleba w zdrowych ząbkach Józii i kłapanie starych pantofli Agnieszki po podłodze.

- A co to Józinka tak jakoś mizernie wygląda?... Wybliznowała się i strasznie się „substelna” zrobiła!... Czy nie chora aby. czego broń Boże?...

- Ależ nie, zdrowa jestem zupełnie!...

- A może!... - Agnieszka przydreptała ku swojej paniencie drobnym kroczeniem i coś jej ze znaczącym, filuternym uśmiechem szepnęła do ucha.

Józia oblała się rumieńcem i odwróciła głowę, zmieszana niedyskretnym pytaniem.

- Nie... nie!...

- Niema się czego wstydić i czerwienić... Toć to swoja rzecz!...

- Kiedy nie!...

- Szkoda!... - westchnęła sługa - A to i czegoż Józia taka bledziutka i oczki ma podkrojone i na buzi zeszczupiała!...

- Bo ja wiem!... Może mi powietrze w Łukowie nie służy!... A zresztą ma się też swoje zmartwienia!... - westchnęła Józia.

- Ooo!... Zmartwienia, a jakież to zmartwienia może mieć taka młodzieńska mężatka, taka śliczna paniuska?! Chyba, że mąż niedobry? Bo to mężczyzny hycie dla kobiet bywają, jak i nieprzymierzający nasz pan dla!...

- Nie, nie, Agnesiu - zaprzeczyła żywo młoda kobieta - mój mąż dobry jest i kocha mnie!... Tylko niema go teraz w domu!... Przy wojsku jest!...

- O, mój Boże!... - Agnieszka pociągnęła głośnie i żałośnie swoim kaczkowatym nosem, co miało wyrażać wielkie współczucie - Przy wojsku?! O, biedna Józinka!... A kiż dyabli z tą wojną!... Ale przecież zdrow i pisze!...

- Zdrow!... On zresztą nie jest na froncie tylko w etapowej służbie!...

- No, jak tak, to chwala Bogu!... To jeszcze nie najgorsza, ale zawsze tęskno, co?... - pytała ciekawie.

- Tęskno i bardzo!... - odpowiedziała cicho Józia.

- I jakże Józinka tak mieszka?... Sama?...

- Mieszkam razem z matką męża. - odpowiedziała Józia, nie zdając sobie samej sprawy z tego, że jej w tej chwili głos zmienił się i twarz spochmurniała.

Nie uszło to jednak uwagi Agnieszki. Służąca popatrzyła na młodą mężatkę jakoś badawczo i niespokojnie.

- I jakże tak? Dobrze?... Dobra ta matka? Bo jest przypowieść, że „matka mężowa - głowa węzowa”!... To i jakaż ta?...

- Dobra. - rzuciła krótko i sucho Józia, oglądając gorliwie wazonik z kwitnącą fuksją.

Agnieszka pokręciła głową, jakby niedowierzająco i nie odwracała wzroku od twarzy młodej kobiety.

- To Józia nie ma swojego domu? Niby własnego gospodarstwa?...

- Nie!... - zaszemrała cicha odpowiedź!...

- Kiedy tak, to nic z mojego zamiaru!...

- Z jakiego zamiaru?

- A bo to ja właśnie miałam pisać, tylko tak jakoś nie mogłam się zebrać i prosić, żeby mnie panna Józia wzięła na służbę!... Bo ja tutaj nie będę!...

- Jakto, Agnieszka odchodzi od oica?!

- Tak, tak!... Odchodzi!... po tylu latach!... choć człowiek już przywykł do tych katów!... - Agnieszka już nie tylko pociągała głośnie nosem, ale i fartuch podniosła do oczu.

- Ależ dlaczego?... Czyżby ojciec!...

- Ja sama nie chcę być!... Ja u tej dyablicy, co się pan z nią ożenił, nie wytrzymam!... Zebyś panna Józia wiedziała, co się tu teraz robi! To niema interesu!...

- Moja Agnesiu!... - próbowała przerwać Józia, bardzo zmieszana, ale Agnieszka nie pozwoliła sobie przeszkodzić.

- Pan, to jeszcze jaki był, to był!... Dobry ojciec nie był!... a jaki mąż dla nieboszczki pani, to już i szkoda gadać. Zawsze jakoś człowiek do niego wezwyczał się!... Ale już co z tą, to niech pies polkę tańcuje, a nie, żeby porządna sługa miała u niej służyć!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)